

## Sens starości

---

Rozumiem, lub co najmniej wydaje mi się, że rozumiem, iż cierpienie uszlachetnia. Okropne przeżycia, trudne doświadczenia, wyciszają człowieka, pogłębiają refleksje egzystencjalne, uczą. Powinny uczyć. Zakładając, że są niejako przez nasz indywidualny Los, nasz hipotetyczny, osobniczo realizowany scenariusz, „skrojone” na miarę. To znaczy intensywność, natężenie cierpienia, nie ma nas „zabić”, ale właśnie wzmocnić, uszlachetnić, rozwinąć. O ile przyjmujemy, uznamy za prawdziwą koncepcję wszechogarniającej, transcendentnej miłości, umiejętnie i w każdym szczególnie organizującej nam, poszczególnym osobowościom, naszą drogę. A chętnie, co nie powinno dziwić, taką możliwość przyjmuję.

Również mnóstwo innych ludzi, zdaje się większość, świadomie bądź podświadomie tę opcję akceptuje, zeglując przez życie z nadzieją, że Ktoś to wszystko ogarnia w każdej drobnostce, że jest, że życzliwie czuwa, jednocześnie pozostawiając nam mnóstwo wolnego pola na decyzje samodzielne, zachowania indywidualne. Na wolną wolę, gdzie jednak, co i rusz, musimy korzystać z zawartości naszej pamięci, naszych doświadczeń. Jedynie logiczna i racjonalna konieczność, celem uniknięcia powtarzania tych samych błędów, celem samodoskonalenia.

I to jest w porządku – tak powinno być, to ma sens, również ten głębszy, transcendentny właśnie, niezależnie od wyznawanej religii czy światopoglądu (z oczywistym wyjątkiem skrajnego ateizmu). Jednak jednego nie jestem w stanie zrozumieć, mianowicie całkiem z tego punktu widzenia irracjonalnego, bezsensownego właśnie (według mnie) i przeważnie upokarzającego, długotrwałego cierpienia starości.

Człowiek w miarę sprawny, zwłaszcza psychicznie, ma jeszcze szansę – czas i siły, by doznane cierpienie wykorzystać jako jakąś naukę, jako przyczynek do zachowań, wyborów późniejszych. Ale cierpiący na nieuleczalną demencję, robiący pod siebie, wyjący, płaczący z bólu i beznadziei starzec? Przed nim już tylko nicość, nieogarniony ocean niemożności, braku jakichkolwiek szans na twórczą refleksję. On już w żaden sposób nie jest w stanie tego doświadczenia spożytkować!

Może tu paść argument, że cierpi już nie dla siebie, ale dla innych, na przykład dla opiekującej się nim rodziny czy choćby obsługi medycznej. Że to pewna szczególna, nieprzyjemna dla wszystkich, jednak w rachunku ostatecznym niezwykle skuteczna dydaktyka. Ale przecież cierpi on – biedny, zmaltretowany przez własną biologię człowiek, który, o ile zachowały się w nim jeszcze jakieś resztki umysłu, modli się nieustannie o wybawienie, o śmierć. Bo cóż mu innego pozostało?.

Jeżeli powie ktoś, iż taka sytuacja może być formą doczesnej odpłaty za popełnione wcześniej czyny, błędy, czy choćby tylko banalnym, odroczonym w czasie skutkiem zaniechań, na przykład zdrowotnych, higienicznych, to też nie mógłbym się z tym zgodzić. Z tego prostego powodu, iż musiałbym wtedy uznać za słuszny, skrajnie ateistyczny punkt widzenia - całkowity bezsens i przypadkowość wszelkiego istnienia, ewolucji, rozwoju. A tego zrobić nie mogę, i nie chcę. Nie przyjmuję też uniwersalnego w takich razach, w istocie głupiego w swej treści wyjaśnienia, że to Jego tajemnica, ukrywana przed nami tylko z tego powodu, iż nie dorośliśmy jeszcze do szerszego poznania.

Ale przecież to niezrozumiałe, bezsensowne i upokarzające cierpienie jest powszechne i dotyczy nas

wszystkich - niedorośli, niezbyt rozgarniętych mentalnie dzieci! Nieustająco, od tysięcy lat! Z pewnymi, istotnymi jak mi się zdaje ograniczeniami, mogę przyjąć tylko jedno wyjaśnienie - chodzić tu może o skuteczne zniechęcenie do już przeżytego, o wywołanie nieodpartej, bez śladu żalu po minionym, tęsknoty za śmiercią, która może okazać się tylko punktem startowym, pierwszym, koniecznym krokiem, ku przeczulanemu zaledwie, spodziewanemu i zachwycającemu... nowemu, czystemu.

I tylko wtedy może to mieć sens.

**KONIEC.**

1209

---

Autor: golesz

Artykuł pobrano ze strony [eioba.pl](http://eioba.pl)